Nr. 22. (dodatkowy). Lwów dnia 31. Lipca 1883. Rok VI.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE.

Obrazki caryzmu.

Pamiętniki J. GORDONA.

(Ciąg dalszy)

Ale w cytadeli, wszystko co mogło budzić w człowieku myśl i uczucie, władza usuwa. Tam więzień nie zobaczy uśmiechu małych dziatek, jak nie zobaczy promieni wschodzącego słoneczka. Nikt nie poważy się podejść do jego okna, chyba zapędzona wiatrem ptaszyna — nikt do drzwi, oprócz skradającego się cichaczem żandarma — nikt do jego celi, oprócz milczących mar objaśniających świecę, jak przy nieboszczyku. Tam on męczony, nie mogąc znieść częstokroć przygotowanych sideł, zdrad i piekielnych katuszy, zaczyna się śmiać z Boga, z świata, z ludzi; dziczeje, zamienia się w kamień! a raz znalazłszy się w tym stanie, trudnym staje mu się powrót do uczuć wzniosłych.

Pelicco nawet, mówiąc o uniesieniach rozpaczy, powiada: „Przestawałem modlić się, powątpiewałem o sprawiedliwości boskiej, przeklinałem ludzi i świat cały i przypominałem sobie wszystkie sofizmata naśmiewające się z cnoty."

W cytadeli nie ulituje się nad więźniem żaden Schiller dozorca, bo takowego tam nie ma. Tam biedny żołnierz, z bronzową twarzą pokolenia mongolskiego, w zbroję okutą, pilnujący ciebie, zmienia się z warty i ucieka ztamtąd; następuje drugi, trzeci i dziesiąty, podobny do pierwszego i ci wszyscy nikną, nie wyrzekłszy i nie przyjąwszy, ani jednego słowa.

Czuła piosenka żadnej Małgorzaty, choćby występnej Magdaleny, zawsze jednak młodszej siostry w Chrystusie, nie ozwie się także, bo i tej tam nie ma — usłyszysz czasami o zmroku, cichym głosem, wydobywającego się zkądsiś, jak z pod ziemi, zanucone słowo z psalmów Dawida, głosem kapłana, wystawiającego się na karę za przestąpienie milczenia, dla chwały bożej. Usłyszysz jęk opodal, lub suchy kaszel piersi, w której ostatnie pękają struny, bo innej melodji mury tam nie znają.

Żadna Zanze nie zawita z wyrazem pociechy, chociaż jeśli gdzie, to zaprawdę, w rozkrzyżowanej Polsce nie zbywa na podobnych niewiastach; ale zawita raz na miesiąc komendant fortecy, aby zapytać więźnia, czy nie ma powodu do zażaleń i czy mu dobrze?

„Bardzo dobrze!" — miałem zwyczaj odpowiadać.

Rozumiem, że położenie męża w sile wieku, z rozwiniętym duchem, który cierpi za ojczyznę, za ludzkość, może być znośne, aczkolwiek względnie; może mieć swoje słodycze, chwile szczęścia nawet. Taki spełniwszy posłannictwo, wzniósłszy się nad poziom, staje myślą między ziemią i niebiosami, czuje wielkość ofiary swojej. Wielkim jest w męczeństwie; więzienie, to jego poświęcenie; z pogodą jaśniejącą na czole, z uśmiechem pokoju na ustach, oczekuje chwili skonu — a krew jego użyźnia niwę, na której wzrasta ziarno boże. Tego Człowiek-Bóg, wołający z pod ciężkiego krzyża: „Nie płaczcie nademną, ale nad sobą i nad dziećmi waszemi" dał przykład.

Ale położenie młodzieńca rozwiniętego, który nie miał jeszcze czasu wszystkiego zgłębić, nie umiał zdać sobie rachunku z cierpień swoich, dla którego c i e r p i e n i e przedstawia wyobrażenie o b o w i ą z k u, jest okropne. Znosi on, jak dziecko, wielkie bóle męża, bez znalezienia ulgi w dolegliwościach.

Andrjan, w swoich wspomnieniach więźnia stanu w Austrji, przytacza rozmowy budujące, jakie tam prowadził z misjonarzami, które go, sceptyka, nawiodły na drogę prawdy, światłem ewangielicznem, kładąc balsam na bolesne rany. W cytadeli więźniów cieszyć — i księżom niewolno. Nawet na Wielkanoc duchownego nie widziałem.

Wiele pisano o Bastylji, Spielbergu, dagerotypowano Botany-Bay, więzienie celularne w Filadelfji, i t. d. Dlaczego zaś nikt nie wystąpił dotąd z opisem środkowego więzienia Polski: cytadeli warszawskiej? Wszak dzieło tego rodzaju byłoby zajmującem i godnem powszechnej uwagi?

Odpowiedź na to: że Francja, Anglja, Austrja, Ameryka i inne państwa razem wzięte, nie zdołają tak skryć człowieka, jak go skryć i oniemić potrafi Rosja, by nie głosił jej tajemnic — że ten, kogo nie zabiła cytadela, kto z niej nie wyszedł idjotą, tego dobiły obszary pustyń, lub katorga, a jeżel udało się kiedy powrócić stamtąd jakiemu znękanemu i okrytemu szronem starcowi, do rodzinnej strzechy, to już nie do pióra było.

Ja należę do szczęśliwych wyjątków, jestem zdrów, jestem wolny — i mówię!...

Słyszałem, że Mikołaj I., za ukazaniem się dzieła Sylvii Pelicca w Petersburgu, unosił się przed jednym z magnatów polskich, nad poddaniem się bez szemrania tego męczennika.

Tyranom podobają się ofiary, które się nie bronią; bo zdaje im się, że je łatwiej zgładzić. Mogło się nawet zdawać Mikołajowi, u którego tylko bagnet, paszcze spiżowe i okrucieństwa stanowiły potęgę i siłę, że Polska, co nie splamiła się w dziejach podniesieniem ręki zabójczej na monarchę, łatwą jest także do zagłady.

Mikołaj, ani Pelicca, ani Polski nie zrozumiał, nie pojmując tak w jednym, jako i w drugiej, siły wyższej nad żelazo, spiże i wszelkie męczarnie, siły niezwalczonej: s i ł y m o r a l n e j.

Weź krzyż i idź śmiało do celu — a dojdziesz!

Nauka języka murów.

Znowu upływały dni i tygodnie, zawsze byłem w jednem położeniu; lecz jakaż to dola samotnego więźnia? Zamknięty w ciasnej kazamacie, krąży w niej, dopóki znużony nie padnie na łóżko z westchnieniem. Nie raz zdawało mi się, że mam ogień w głowie; to znowu wycieńczony na siłach, wpadałem w letargiczny spoczynek i godziny całe schodziły mi na gnuśnem leżeniu, z utkwionemi oczyma w sufit, bez zrobienia najmniejszego ruchu ciała.

Czasami uniknąwszy czujności żandarma, wdrapałem się na okno, aby wyjrzeć na świat. Słodycz, z jaką wciągałem w siebie powietrze, tylko więzień uczyć może, a żadne pióro wyrazić jej nie zdoła. Wtedy myśl, czyby nie udało się jako wymknąć z fortecy, świtała w głowie — czyby nie udało się, wychodząc kiedy z komisji, odziać się płaszczem i furażerką jednego z audytorów?

Próżne złudzenia!

Byłem pod wpływem tych marzeń, gdy kastaniety — tak nazywałem pukania mych współ-towarzyszy niedoli — odezwały się na-

demną, bo do mnie przestano oddawna pukać — nie chciano zapewne narażać się, bezkorzystnie.

„Wielki Boże! Ty, których zmięszał języki pysznych w Babelu, a ukazał płomieniejące nad głowami apostołów, daj mi dar słowa!“

Po tej modlitwie, postąpiwszy do ściany zapukałem z cicha. Sąsiad odpowiedział podobnym znakiem, i znowu powtórzył to, co już od kilku tygodni czynić zaprzestał, to jest, posunął czemś twardem pięć razy po ścianie, jakby znacząc pięć linji, jedna pod drugą. Cały w słuch się zamieniłem i znowu zapukałem. Wówczas uderzył zwolna 23 razy.

Wydobyłem natychmiast z ukrycia żelazny sztyft — zostawiony testamentem — i w pięciu linjach rozłożyłem 23 głosek alfabetu — następnie, wyszukując potrzebne do składania wyrazów, w sposób, jak się wyszukuje liczby w tablicy Pitagoresa, zacząłem systematyczne pukanie. Sąsiad zrozumieć mię jeszcze nie mógł, ale w sposobie jego szybkiego odpukania, przebijała się radość z mego postępu w nauce.

Przypuszczałem, że alfabet przyjęty w cytadeli, jest skróconym, skoro składa się tylko z 23 liter, i że w skracaniu go właśnie była przyczyna mojej pomyłki, ale że dojść do celu muszę.

Z tem mocnem postanowieniem udałem się weselszy na spoczynek. Nazajutrz rano, posługacz przyniósłszy, wedle zwyczaju, miskę z wodą, wyszedł na korytarz — umywając się, postrzegłem krzyżyk wydrapany na jej polewie. Na ten niezwykły znak, podniosłem ją i obaczyłem na boku, skreślone tajemnicze abecadło — prawdopodobnie przez sąsiada — w rozkładzie następującym:

	1.	2.	3.	4.	5.
1.	a	b	c	d	e
2.	f	g	h	i	k
3.	l	ł	m	n	o
4.	p	r	s	t	u
5.	w	y	z.		

Zatarłem je, a zaledwie miskę zabrano, aby ją ponieść do następującego numeru, podstąpiłem do ściany i wypukałem „dzień dobry.“ Kolega odpowiedział; „dzięki Bogu!“

Gdyby kto udoskonalił teleskop do tego stopnia, że obaczyłby po raz pierwszy ludzi na planecie, nie ucieszyłby się może tyle, ile ja z mego odkrycia.

Łatwo czytelnik zrozumie zastosowanie powyższego abecadła tak do pukania, jako do pisma. Naprzykład, chcąc wyrazić głoskę i, uważam, że zajmuje ona c z w a r t e miejsce w d r u g i m szeregu; oznaczam ją więc c z t e r e m a i d w i e m a kropkami (·: :· i t. p.

Imię Jan, wyrazi się więc, jak następuje:

·:·: : ·.·.·.

Otóż znośniejszą stała się niewola, gdy mogłem o szarej godzinie zamienić słów parę z kolegą.

Lecz w niewoli trudno jest znaleść czystej uciechy, bo i w tym razie podejrzenie zatruwało onę. A jeżeli sąsiad jest narzędziem podstępnych badań? Myśl ta rozdzierała serce. Jakże smutno domyślać się na każdym kroku zdrad i zasadzek! widzieć w otaczających samych tylko wrogów — czuć ciągle trwogę, nawet na odgłos bratniej, choć niewidomej dłoni — a jednakże trwoga ta, z natury rzeczy, musi męczyć więźnia i usprawiedliwioną później została podejściami, jakich się na mnie dopuszczała komisja.

Raz mój dobry kolega zapukał: „Ty głodny musisz być, mój bracie kochany. Jeśli już złożyłeś protokół, poproś Moroka o pieczeń i jarzynę. W ich polityce jest, ażeby ich prosić.“

Z razu, niepodobała mi się ta rada; zastanowiwszy się jednak pojąłem, że rozumie on, ile głód dokuczać mi musi — i jakkolwiek ze wstrętem, zwróciłem się nazajutrz z prośbą, czyli raczej formalnością prośby, do Moroka.

— Skąd pan wiesz, iż tu pieczeń dają? — zagadnął, utkwiwszy we mnie badawczo oczy.

— Codziennie woń sosu mię zalatuje.

— Hm — sosu, bąknął, zatrzaskując drzwi za sobą i już był na korytarzu, a jeszcze: so—su—so—su! słyszeć się dawało.

Potęga wyobraźni w więzieniu. Rozmowa przez dziurę w ścianie.

Wyobraźnia moja, nigdzie nie była tyle twórczą, samodzielną, ile w cytadeli; ale pamięć nigdzie nie była tyle, ile tam niedołężną. Płody wyobraźni z różnych okresów życia, są mi obecne aż do tej chwili; te zaś, które ożywiały mię wśród więziennej samotni, opuściły mię niemal wszystkie za pierwszym niemal krokiem ztamtąd: ich rysów nie przypominam sobie.

W cytadeli tak się czułem słabym, bezwładnym, że chwiejec się stąpałem. Okazuje się, że w wątłem ciele silna wyobraźnia zamieszkać może — ale jest ona gorączkową. Gdybym miał był pióro, zdaje mi się, że kreśliłbym szkice kolorytu żywego, jaskrawego, uderzające wydatnemi kształty i szatą godową. Wszak i to winienem po części wyobraźni, że zdołałem przeniknąć tajemnicze abecadło, na rzucony ku temu wątek.

Ale jak głodnemu chleb na myśli, tak oddzielonemu od cudnej przyrody, stawała ona przed oczyma. Rzeźbiarz potrzebuje marmuru na sukienkę dla idei, malarz farby; mnie potrzeba było błękitnych wstęg i smugów niebios, na tło do mych marzeń. Rzeczywiście, czyż te czarowne panoramy, jakich żadna optyka, żadna latarnia magiczna wydać nie zdołała, kwieciste doliny, ruczaje, jakieś szczęśliwe sioła, grody całe, nie przesuwały mi czasem w mózgu, dla tego jedynie, że mi zbywało nawet na powietrzu?

To znowu, jak promienie słońca, odbite od źwierciadła, biegą gdzieś w nieskończoność, tak wyobraźnia, w odbiciu się od ziemi, ulatywała w wyższe sfery, w oderwaniu, niezależne, istniejące dla nich samych, jak piękność dla piękna, prawda dla prawdy.

Dumania kończyły się zwykle wieczorem, gdy służba zaczynała się krzątać około przygotowywania światła, zbierania naczyń i t. p., bo wtedy na zapukanie sąsiada, jak przebudzony lunatyk, powracałem do świata rzeczywistego.

Pewnego razu umówiliśmy się, aby wywiercić dziurę w ścianie, w celu łatwiejszego porozumienia się i zaraz wzięliśmy się do roboty. Ściany pomiedzy numerami są cienkie. Więzienie, bowiem, zrobione zostało z koszar; podzielono wielkie izby na małe, za pomocą tarcic obitych trzciną i tynkowanych. Miejsce na otwór wybraliśmy między spojeniem kafli pieca wspólnego, bo deska tam do wklęsłości nie dochodząc, nie mogła tamować roboty.

Praca była długa i mozolna, gdyż tylko w upatrzonych chwilach mogliśmy ją wykonywać; a za całe do niej narzędzia, były drewniane łyżki, których trzonki służyły nam za świderki. Co wieczór zatykało się szczelnie chlebem, zaczętą robotę, nie zaniedbując zamalowywać zalepionego miejsca zebraną ze ściany farbą. Kropla wody kamień przebija — koniec końcem i dziura stanęła gotowa.

Kolega mój także samotny. Otóż jego męztwo podtrzymywało moje, i wzajemnie. jeśli jeden wpadał w głębokie, przerażające milczenie, drugi go rozweselał, jakąś uwagą uśmiech wywołującą; to znowu z rozmów wspólnych pryskała iskra światła, jak z uderzającej stali o krzemień.

Pewnego razu, wysunąwszy do mnie słomkę: „przytknij do niej usta i ssij“ — rzecze. Przytykam je więc na wezwanie i ciągnę. Poczuwszy smak wina, zdawało mi się, że nektar pokrzepiający rozlewa się po mych żyłach. „A teraz — dodał — powinszuj mi imienin.“

Jakże się ucieszyć musiała matka tego biednego, słabowitego chłopca, siedzącego już czwarty rok w cytadeli, pod sądem wojennym, gdy otrzymała pozwolenie przesłania mu dnia tego szklanki wina, kilku ciastek i cygar!

Ciastami dzielić się mu było niepodobna; ale cygara paliliśmy wspólnie. Otwierałem usta, a on puszczał mi ze swoich kłęby dymu, przez słomkę — co złapałem, to i połknąłem.

Gdy poznaliśmy się bliżej, opowiadał, jak udała mu się raz sztuka napisania do matki, miedzy krochmalnemi fałdami koszuli odsełanej do prania, także słomkę z siennika, jaka mi służyła za kieliszek i cybuch; kawałek zaś papieru zagryzmolonego, pozostały z przysłanego ze szpitala proszka, spalony i zmieszany ze śliną, miał być wyśmienitym atramentem.

Długie częstokroć były nasze pogadanki. Trafny był pogląd jego na cytadelę:

„Szczęśliwyś — rzekł — iż sprawa twoja jest tego rodzaju, że sam bronić się w niej możesz na wszystkie strony; ale proces wytoczony tutaj razem kilku i kilkunastu osobom, należącym do jednej sprawy, a rozdzielonym w więzieniu i badanym poje-

dyńczo, wystawionym na zasadzki, jakie chyba piekło wymyśleć zdoła, jakże jest trudnym do przetrwania! Z jednej strony, ciągła trwoga zaszkodzenia innym i całej sprawie, pożera więźnia — z drugiej, trudność walki przeciwko ustawicznym obwinieniom i podejrzeniom zwierzchności; niebezpieczeństwo zaś wzmaga się jeszcze w miarę nowych odkryć i aresztowań. „A jakże boleśnie, gdy te odkrycia wychodzą z własnego koła stowarzyszonych, podające wrogom nić do kłębka! Są między nimi nawet tacy nieszczęśliwi, którzy upadając na duchu pod zadawanemi im cierpieniami, plotą niestworzone rzeczy, w nadziei polepszenia sobie losu. Mieszają do sprawy nieznane im osoby; a komisja cieszy się: raz, że potrafiła zdemoralizować świętą sprawę, a słabego człowieka, częstokroć do tego stopnia, że ten opamiętawszy się, brzydzi się samym sobą i staje się godną politowania ofiarą; powtóre, że upatrzywszy jakieś najmniejsze prawdopodobieństwo w słowach szalonego oskarżyciela, aresztuje niewinne ofiary, niewiedzące o niczem, z których jednak rzadko kogo nie potrafi zrobić winnym, bo na tem polega jej interes. Wykazując jak najwięcej przestępców politycznych, członkowie jej dowodzą przez to samo o potrzebie i ważności swoich urzędów— a że niewinnych polaków kości spruchnieją na wygnaniu, to się bynajmniej nie sprzeciwia polityce cara. Pozorem zaś winy nie trudno jej okryć aresztowanego. Umie zaplątać go w sieć tak dziwnie skojarzonych intryg, że przywiedziony do ostateczności, choć nie wykroczył w niczem, będąc wolny, zrobi coś w niewoli, czego komisja nie zaniedba podciągnąć pod prawo karne moskiewskie, złożone z u k a z ó w różnych carów i caryc, sprzeczne w sobie, dające się naciągać wedle woli sędziów.

„Tutaj mój bracie, podejrzani tyraństwu, staliśmy się wzajem sobie podejrzanymi, bo inaczej być nie może w jaskini szpiegowstwa. Systemat niesprawiedliwości i kłamstwa, tłumi nie w jednej duszy pojęcia dobra i prawdy, uczucie miłości Boga i bliźniego, a wyradza — nienawiść!“

Żałuję, że nie mogę przytoczyć wiele z opowiadań mego kolegi. W całym opisie opuszczać muszę szczegóły ciekawe, któreby służyły za dowody dla niego — aby nie dać wrogowi możności ścigania kogoś, z niniejszem wydaniem w ręku.

Przez otwór mogliśmy rozmawiać o każdej niemal porze, jakkolwiek z cicha, dosyć jednak śmiało, gdyż słuch więźnia, jak wzrok i wszystkie zmysły, tak staje się czujny, że najmniejszy, a złowróżbny szelest w korytarzu, nie uchodzi jego uwagi.

Żandarmowi się zdaje, że może więźnia podejrzeć, podsłuchać, a nie wie, że zaledwie poruszy się w krześle, jeszcze kroku nie zrobił, już szmer jego płaszcza spłoszył mię, jak ptaka, od miejsca gawędy; i gdy po cichutku, na palcach, skradał się pod okienko, rachowałem jego stąpania.

Ale nadeszła ogólna rewizja — dziurę znaleziono — kołkiem zabito — a nas rozprowadzono do innych kazamat.

Wezwano mię do komisji. Jolszyn wpadł w kaznodziejski zapał: dziurawić mury skarbowe! taka to zbrodnia, że aż Morok oczy przymrużył ze zgorszenia. Pomimo to jednak, oświadczono, że mi pierwszy i ostatni raz przebaczają. Przebaczono — jednak pieczeń i jarzyna, która zaczęła mię już dochodzić, od tego czasu cofniętą została.

Od tego także czasu, nie słyszałem nic o losach współ-towarzysza.

Poglądy z okna. Więźniowie pomięszanych zmysłów. Podejście komisji śledczej.

Jakkolwiek zmieniono moje nazwisko na 72, jakkolwiek głęboki żal mię dręczył po stracie kolegi, przecież w nowym numerze znalazłem pewną, chociaż smutną rozrywkę. Mieszkanie było na piętrze, okno wychodziło na dziedziniec; wdrapałem się na nie, aby zobaczyć, co się w cytadeli dzieje

Więzień samotny przechadzał się powolnym, chwiejącym krokiem. Dwaj żandarmi go strzegli: jeden miał utkwiony wzrok w więźnia, drugi rzucał oczyma na okna więzienne. Warty przy bramie parkanu stały, swoim porządkiem, nieruchome i milczące, jak posągi. Więzień był blady, jak mury go otaczające.

Po nim wyprowadzono drugiego, a następnie innych. Domyślałem się, że to byli ci, z którymi pokończono śledztwo, skoro dozwolono im wychodzić. Przechadzka każdego trwała zaledwie kilka minut, a dzień cały nie wystarczył dla wszystkich, bo nanazajutrz nowe oblicza spostrzegałem.

Niekiedy ukazało się dwóch, a rzadko trzech razem. Nie zajmowali się rozmową wśród przechadzki, bo każdy miał droższe nad wszystkie inne zajęcie: wciąganie powietrza w siebie.

Stosunkowo do liczby cywilnych więźniów, zbyt wielką zauważyłem ze stanu duchownego. Z wojskowych zaś, jednego tylko junkra widziałem, w ułożeniu którego tyle było udatności, a w obliczu potęgi ducha, że nigdy jego rysów zapomnieć bym nie mógł.

Nie zapomnę także pewnego mężczyzny, w sile wieku, na którego czole jaśniał geniusz i nieszczęście.

Nie zapomnę i chłopka, stangreta w karazji. Z ruchów jego, przyzwyczajonego do życia czynnego, łatwo było wnosić, ile gnuśne życie więzienne było mu ciężkiem. Widziałem go raz wychodzącego, w czasie poczynającej się burzy; żandarmi chcieli skrócić przechadzkę, wtedy boleść na jego twarzy, którą wzniósł ku niebu, była uderzającą. Zdawał się chcieć zatrzymać jeszcze chwilkę, posłuchać grzmotów i napawać deszczem.

Patrząc na tych ludzi, których wiek rokował najpiękniejsze nadzieje dla ich rodzin i dla kraju wyludnionego z dobrych obywatnli, więdniących, jak przesadzone rośliny z pod słońca do ciemnicy, łza wilży powiekę.

Na drugim dziedzińcu, grono kobiet stoi u wrót, smutno poglądając na mury. zdają się one oczekiwać kogoś. Są to żony, matki i siostry męczenników. Czy nie zebrały się na pogrzeb jednego z nich? Na tę myśl, Józef z Arymatei , Nikodem i orszak pobożnych niewiast, przedstawił mi się wyobraźni.

Ale Morok nadchodzi, napuszony, zdaje się sprawować obrzędy cytadeli. Focht, jego pomocnik i posługacze, przyjmują od kobiet posełki. Był to dzień posełek.

Gdyby dziecię, nad którego kolebką zamyślona matka śpiewa, mogło zrozumieć jej uczucie, jak je zrozumiał Rafael i wyraził na czole Madony — gdyby mogło pojąć święty ogień, pałający w jej oczach, utkwionych w jego twarzyczkę, nie zniosłoby jego blasku — było by to nad jego wątłe siły. Gdyby więzień przejrzał mury i obaczył swą narzeczonę, z obliczem branki boleściwej, podstępującą z prośbą do Moroka, nie zniósłby tego widoku.

Moimi nowymi sąsiadami byli: z jednej strony ksiądz protestancki, zazwyczaj zatopiony w modlitwie; z drugiej, dość rozmowny sąsiad; a za nim, pod Nr. 74, siedział k r o g u l e c.

Historja krogulca następująca:

Pewnej nocy, dano znać Morokowi, że więzień 74, coś drapie po ścianach. Morok wpada i pyta stojącego na oknie, co to znaczy?

— Co znaczy? a czyż krogulcowi nie wolno drapać u siebie w klatce?

— Jakto krogulcowi?

— A cóż to, czy nie widzisz, żem krogulec?

— Więc Nr. 74 umyślił w krogulca się bawić? — rzecze z drwinkami Morok.

— Czujesz moje skrzydła? — zawołał wtedy i skoczywszy na barki Moroka. zaczął go tłuc łokciami.

I odtąd został krogulcem.

Nic go z tej manji wywieść nie zdołało. Niekiedy jednak, rozmowy krogulca były rozsądne i warte posłuchania.

Opowiadał mi sąsiad zdarzenie, jednoczesne z naszym w cytadeli pobytem, które może przeszło w tradycję tameczną. Jeżeli jakie miejsce rozdzielonej, a jednolitej Polski, mogłoby dostarczyć podań do wielkiej tragedji narodowej, to bez wątpienia cytadela. Tam naprzykład, spalenie się dobrowolne rodaka Lewitu, aby nie zdradzić pod mękami powierzonej mu tajemnicy, czyliż nie jest rysem bohaterskiego samobójstwa, które zaćmiło czyn Scewoli?...

Oto opis tego wypadku:

Był na cytadeli sąd na m i a t e ż n i k ó w —
Więc siedli, jak czarci za stołem:
Jenerał, adjutant i czterech piszczyków,
Ze sercem miedzianem i czołem.
I rzecze adjutant: „Bat'ku jenerale,
Czart chyba się z lachów co dowie.
Wziął pałki Lewitu, lecz milczy zuchwale.
„Sto pałek! pod pałką odpowie.“
Straż stawi Lewita, skutego w kajdany,
I biorą na rozpyt go kaci.
Wnet zdjęto zeń szaty, co kryły mu rany,
A sędzie wołają: „Zdradź braci!“

A był tam nad nimi w tej izbie szatańskiej
Krzyż z Panem Jezusem na ścianie.
Lewitu wzrok jasny utopił w krzyż pański,
I modlił: „Daj siły o Panie!“
I poszedł pod pałki wpół nagi, bez lęku —
Wnet krwią mu opłynął grzbiet cały;
Choć bito go w rany, nie wydał i jęku,
I milczał jak skamieniały.
A gdy go złożono na nędznej pościeli,
Rozważał, czy ciało wytrzyma,
Te męki, bo znowu tak chłostać go mieli
Sędziowie. I poczuł: „Sił nie ma!“
Lecz święcie dochowa tajemnice bratnie,
Bo stu ich zginęłoby może;
Toż westchnął do Boga o męki ostatnie,
I ognia nasypał pod łoże.
I usiadł na łożu spokojny, bez lęku,
Gdy jasne płomienie wstawały;
Choć ogień gryzł kości, nie wydał i jęku,
I milczał, jak zakamieniały.
Przez kraty wnet bracia błysk ognia ujrzeli,
Straż alarm krzyknęła w podsieniu;
Jenerał i draby wpadają do celi:
Lewitu już skonał w płomieniu.
Więc z grozą ten węgiel rzucili w rogoże,
I w ziemi kazali pochować —
Tą śmiercią w płomieniach pochwalon bądź [Boże,
Bo żywym ją będziesz ratować!

Zdarzenie opowiadane przez sąsiada jest następrjące:

Było to w roku 1849. Przywiezione do cytadeli 17-letniego chłopca — nazwiska jego nie pomnę — który przy naocznej konfrontacji, w sali posiedzeń, z innymi, zadziwiał mocą charakteru, nad wiek swój. Mając świadków przeciw sobie, a nie chcąc dać żadnego objaśnienia w sprawie, został wzięty na tak zwane p u n k c i k i. Skazanemu na nie, zaśrubowują podobno głowę, w nowego wynalazku maszynę, do przyznania; dając niekiedy szczutki w nos, póki krew z niego nie pociecze.

Podobnie niegdyś w pogańskim Rzymie, kat nasycał się ofiarą, zanim przystąpił do zgruchotania jej kości.

Młodzian zniósł torturę, nie wyrzekłszy, ani słowa, ale wychodząc z pod niej, zanucił oprawcom zwrotkę: J e s z c z e P o l s k a n i e z g i n ę ł a! Przerażała ona potem przez kilka nocy swym grobowym tonem więźniów, dopóki ofiara nie przeniosła się z nią do wieczności.

Z nowym kolegą mogąc tylko znosić się wieczorem, mało więcej dowiedzieć się mogłem i tego w niedługim czasie komisja odemnie oddzieliła, by zastawić na mnie sidła swoje.

Rzecz tak się miała:

Pewnego razu, słyszę zwykłe, jednorazowe stuknięcie w ścianę i odpowiadam tym samym znakiem — następnie, niewidoma ręka zaczyna rozmowę — lecz jak fałszywy pieniądz, który kasjer rzuca między rulonem innych, uderza odmiennym dźwiękiem wprawne jego ucho, tak mię uderzyło na ten raz pukanie. Nie była to już ręka mojego kolegi, nawykła do języka murów; ale zastępowała ją inna, nierównie wolniej i dobitniej pukająca: „Dwóch emisarjuszów dziś powieszono — wojna w świecie — górą nasza!“

Na tę nowinę, odpowiedziałem jednorazowem, a silniejszem stuknięciem, dając do poznania, że nie rozumiem; i pomyślałem, że ponieważ przybyłem z zagranicy, wyraźna to na mnie zasadzka. Po wyjeździe z cytadeli na wygnanie, odczytałem gazety z powyższej epoki, zapytywałem warszawian, nic nie potwierdzało doniesionego wypadku o emisarjuszach. Ręki prawdziwego kolegi więcej nie słyszałem, fałszywa także znikła, a numer sąsiedni pozostał pusty. O! więzień z taką łatwością poznaje współ-towarzysza dłoń, z którym już obcował, jak się poznaje dźwięki muzyki, tępa broni, chód, lub głos przyjaciela.

Znowu ujrzawszy się samotnym, oderwałem kawałek obcasa od buta, wydobyłem ćwieczek i tym pisałem po ścianach, dla rozpędzenia nudów. Z początku mi zacierano, a potem pozostawiano. Wśród nocy bezsennych, rozrywałem się oswajaniem myszy, igrających i nie uciekających odemnie.

Ale wielkie było me zdziwienie, gdy raz żandarmi na przechadzkę mię wyprowadzili — gdy w godzinę potem, historję Rossji Karamzyna mi przyniesiono; jakoteż fajkę, na długim pieprzowym cybuchu i paczkę tytoniu Żukowa. Coby znaczyło to nagłe udobruchanie się komisji? Zapaliłem fajkę mówiąc sobie: T r z e b a s i ę m i e ć n a b a c z n o ś c i.

Komisja bierze mię w obroty.

Gdy po dniach kilkunastu zostałem przywołany do komisji, malowała się na twarzach członków pewna życzliwość ku mnie. Przy jenerale Jołszynie stał próżny fotel, na którym kazał mi usiąść i oświadczył, że po odczytaniu mego protokołu, zdaje mu się, że mam tyle zdrowego rozsądku, że powracałem do kraju nie w złych zamiarach. Że zdaje mu się, iż nie należę do liczby owych półgłówków, którym sie roi, że 500.000 bagnetów zwalczyć kiedy potrafią. Ale że, ponieważ przedstawienia komisji o aresztowanych, względem wyjednania dla nich uwolnienia u władz wyższych, muszą być poparte dowodami, aby nie były odrzucone; danie więc tych, odemnie samego należy. Że jeśli tylko w zeznaniu mojem dowodów, okaże się szczera prawda, to mogę być pewnym, że powrócę do domu.

Pewność tę zaręczył s ł o w e m h o n o r u.

Potem, zaczął przeglądać leżący przed nim protokół, potrząsając głową nad niektórymi jego ustępami, z wyrazem współczucia.

Przez ten czas, cichuteńko było w sali — nikt się nie odzywał. Portret Mikołaja wisiał na ścianie, a wszystkich oczy były spuszczone na zielone sukno stołu, na środku którego stał krucyfix. Zimne tylko oko Leichtego, było na mnie zwrócone.

— Musiałeś bardzo cierpieć młodzieńcze, rzecze nakoniec Jołszyn. W tym wieku i już tyleś się tyrał po aresztach. Piszesz, iż na etapach walczyłeś między życiem, a śmiercią. Pierwszy jesteś, który nam powracasz z etapów i który możesz opisać, co tam postrzegłeś i co ci się najwięcej uczuć dało. Zapewne krzywdzono cię nadużyciami, które cię skłoniły do ucieczki, nieprawdaż? Ale cesarz jest miłosierny, miłosierny. — Proszę nam opisać to wszystko; nie będzie to dla pana bez korzyści.

Otrzymawszy kilkanaście arkuszy papieru, powróciłem do celi.

Wyznaję, iż byłem tyle rozbrojony łagodnością komisji, że zapytywałem: czy podobna, aby ludzie, chociaż zepsuci, byli do tego stopnia złymi, iżby, jak tygrysy rzucać się mieli na drugich bez przyczyny? Gdy tymczasem, gorące wytknięcie cierpień w mym opisie, gdzie etapy były schwycone, jak na dagerotypie, posłużyły tylko wrogom na moją niekorzyść.

Winienem tu nadmienić, że cytadela ma swoją oddzielną literaturę, swoich pseudofilozofów, sofistów, podobnie, jak Sybir i Kaukaz. Może kiedyś wyjątki z ich płodów, będą umieszczone na kartach historji narodu polskiego, jako dowód dla następnych pokoleń, przez jak ciężkie próby naród przejść musiał, zanim odzyskał samodzielność.

W tej tam warowni, rząd protegujе piśmiennictwo i talenta, chcące mu służyć. Skazuje jednych na samotność i bezczynność, uważając ich za straconych, a nie przewiduje że w tej surowej szkole milczenia, rzeczywiste zdolności same się rozwijają; drugim, dopomaga do czytania, do nauk: dla tego, jedni z nich piszą historję, inni odpowiadają na ważne kwestje w polityce, ekonomji, administracji, i t. d.

Moje pióro widać na nic się nie zdało, bo mi już nic więcej pisać nie kazano — i znowu dni mi upływały na rozpamiętywaniach.

Parę tygodni przeszło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Sprostowanie.

Otrzymujemy pismo następujące:

W Nrze 21. dodatkowym „Dziennika dla Wszystkich“ w humorystycznym dodatku **Żarty** w dziale: *Nie z jednego pieca.* w artykuliku, który posłałem szanownej redakcji p. t. H i s t o r y j k a p r a w d z i w a, byłem niedokładnie poinformowany i dlatego pospieszam ze sprostowaniem, o zamieszczenie którego w najbliższym numerze proszę: jegomość, który przybył do Lwowa z kochanką, pozostawił takową, wyjechał i za trzy dni mieszkania w hotelu nie zapłacił wcale; pannie zaś, nie mającej dostatecznej gotówki na zapłacenie trzydniowego pobytu w hotelu, zatrzymał rzeczy właściciel hotelu i wyjechała. W końcu nie działo się to na ulicy Karola Ludwika, lecz w innej stronie miasta.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: *Teodor Mazuryk.* Z drukarni K. Pillera.